



Do czego potrzebna nam jest klasyka literacka: w szkole, w domu i w życiu?

Literatura każdego narodu (na przykład angielskiego, szkockiego, walijskiego lub irlandzkiego) i każdego kraju (na przykład Zjednoczonego Królestwa, czyli UK) ma swoich wielkich twórców – zawłaszczonych często przez cały świat – o których wie każdy i których niektóre dzieła powinien znać każdy dorosły człowiek. To jednak zależy od dwóch zagadnień: dostępności tych dzieł i od tego, czego danego obywatela (a więc każdego obywatela) nauczono w szkole. Dostępność nie stanowi dziś problemu: dzieła wybitnych twórców, zwłaszcza takie, których nie chronią już prawa autorskie, są powszechnie dostępne za darmo w Internecie. Trzeba jednak chcieć czytać. Rola programu szkolnego i nauczyciela z powołania, znającego swój przedmiot i całym sercem oddanego temu powołaniu – jest więc ogromna. Napisałem tych kilka zupełnie banalnych zdań nie bez celu. Zamiarem moim było napisanie eseju o dokonaniu jednego z najwybitniejszych polskich autorów, którego jedyne obszerniejsze dzieło wpłynęło w sposób decydujący na dalszy rozwój literatury polskiej. Dzieło to i dziś może dostarczyć potężnych wzruszeń, wiedzy o życiu, może pomóc zdiagnozować wiele naszych obecnych problemów – jest więc w tym sensie współczesne. Czy jednak podobnie myślą inni czytelnicy? Czy utwór ten zaznacza swoją obecność w polskiej świadomości społecznej? Czy ktoś, kto zawodowo nie musi go przeczytać, czyta je z własnego wyboru i chęci? Mam wydanie *Marii* Antoniego Malczewskiego – bo o tym dziele tutaj piszę – z 1976 roku (Państwowy Instytut Wydawniczy, wydanie piąte, nakład 30290 egzemplarzy). Dane te sugerują, że w dwudziestu latach poprzedzających 1976 rok (dokładnie 1956–1976) – ponad 100 000 ludzi i instytucji kupiło egzemplarz tej książki, była więc czytana. Należy też pamiętać o trzech wydaniach Ossolineum (ostatnie z roku 1958). Po 1976 roku było, o ile mogłem sprawdzić elektronicznie, tylko jedno wydanie, Wydawnictwa Zielona Sowa (2004), publikującego obecnie pogodne, optymistyczne, kolorowe książeczki dla dzieci.... *Marii* nie ma w 2021 roku w katalogu tego wydawnictwa. Firma odmówiła podania wielkości nakładu z 2004 roku; nakład jest wyczerpany i nie planuje się dodruku.

Rozważania te kierują mnie w stronę ważnego pytania.

Czy są obecnie w Polsce przeprowadzane polonistyczno-socjologiczne studia mające za przedmiot autentyczną recepcję

dzieł literackich, na przykład jak popularny jest (tu i teraz) *Pan Tadeusz* w społeczeństwie polskim? A jeśli tak, to kto ten poemat czyta z własnego wyboru (jakie grupy wiekowe i o jakim wykształceniu)? Moja elektroniczna kwerenda dała wynik zerowy. Takich studiów nie mamy. Są one relatywnie kosztowniejsze niż studia indywidualnego badacza polonisty, który potrzebuje tylko kilkudziesięciu książek, specjalistycznych artykułów i komputera, by większość swych badań przeprowadzić. Badania takie wymagałyby wyjazdów w teren (prawdopodobnie przez zespół kilku ankietatorów), ankietowania wśród lokalnych nauczycieli i czytelników, uzyskania zgody władz na takie ankietowanie oraz przewyższenia innych administracyjnych i statystycznych trudności. Wynik takich badań byłby jednak bezcenny: uzbroidłby bowiem ludzi odpowiedzialnych za układanie programów szkolnych w połowę odpowiedniej wiedzy potrzebnej do sensownego ich planowania i realizacji. Drugą połowę takiej wiedzy stanowi, jak wiadomo, dogłębna znajomość historii literatury (przynajmniej polskiej) i historii kultury (przynajmniej światowej). Jesteśmy, jacy jesteśmy, dzięki historii kultury i genetyce (która jest historią biologiczną). Brak kompetencji w tej dziedzinie jest programową tragedią. Podejrzewam, że mamy z taką tragedią do czynienia obecnie, w Polsce roku 2021. Arcydzieła literatury powstałej w okresie romantyzmu, a więc w okresie walki o niepodległość, zostały relegowane do statusu wzmianki w programach. Pamiętajmy: bez tej romantycznej literatury nie byłoby Józefa Piłsudskiego i Ignacego Paderewskiego, nie byłoby Polski niepodległej. *Maria* Malczewskiego, powstała w tym okresie, odegrała ogromną rolę, a teraz podzieliła los innych wybitnych dzieł, wykreślonych z programu nauczania. Polacy! A zwłaszcza nauczyciele! Musimy to zmienić! „Nie miecz, nie tarcz bronią języka, lecz arcydzieła”.

Dlatego nie mogę powiedzieć nic o współczesnej recepcji poematu *Maria* Antoniego Malczewskiego. Raz jeszcze: czy ktoś, kto nie musi z obowiązku zawodowego czy szkolnego – czyta? A jeśli czyta, to jak, kiedy (w jakim wieku) i po co? I co wynosi z tej lektury? Czy jest więc *Maria* rzeczywiście poematem zadziwiająco współczesnym? Esej mój pisałbym więc w ciemno i po omacku, mając wyłącznie jako kompas własne, osobiste, bardzo ograniczone poczucie współczesności – która zawsze (jak wiadomo?) jest dwójaka¹.

MAREK R. LIPIŃSKI

Rhodes University Grahamstown
Republic of South Africa

¹ Cyprian Norwid, *Pisma wszystkie*, T. 6, PIW, Warszawa 1971, str. 463, w. 19–26.



Nasze biblioteki

Przed paroma tygodniami ukazał się w „Gazecie Wyborczej” tekst zatytułowany *To nie jest kraj dla starych książek*. Mimo że dotyczy papierowego świata, wydał mi się szczególnie poruszający.

Kolekcjonowanie książek okazuje się bowiem, w naszych czasach, zajęciem mało komu potrzebnym, a przede wszystkim dość dziwnym hobby bez przyszłości. Nasi pokoleniowi następcy, otrzymawszy ten spadek, będą się raczej zastanawiali, jak się go pozbyć. Nie będzie on bowiem oznaczal ani dziedziczenia kulturowego prestiżu, ani pieniędzy, ani wizytówki społecznej pozycji. A przeszłość wielkich bibliotek, również prywatnych, zdawała się niegdyś chlubnym wzorem do naśladowania.

Teraz wzór się wymazał ze świadomości społecznej, dużo książek to duży kłopot.

Istnieją co prawda dalej studia bibliotekoznawcze, ale przesuwały się ku elektronicznej przestrzeni książki, ku umiejętności jej komponowania i redagowania w innych już warunkach umysłowych. Papierowy świat jest dalej dynamiczny, lecz księgozbiory przeszłości pokrywają się kurzem. Spadkobiercy spoglądają nań z zakłopotaniem. Kolekcjonerzy popadają w depresję. Przez lata zaprowadzali porządek na swoich półkach, teraz mają świadomość, iż był to trud daremny.

Biblioteka domowa to odbicie naszej osobowości. Jej rozproszenie i dzielenie ten obraz likwiduje. Znany jest przypadek Umberta Eco, który żądał w swoim testamencie zachowania jego zbiorów w takiej całości, jaką sam zaprojektował. Chętnych – za życia – oprowadzał po swoim dziele. W miejscu pracy, czyli w Mediolanie, miał zasób praktyczny, potrzebny do zajęć ze studentami, ale też cenne stare druki. W domu na wsi zgromadził repertuar nieco lżejszy – powieści na przykład czytał tylko do poduszki.

Przez bibliotekę Umberta Eco idzie się jak przez gęsty las – uporządkowany jednak gatunkowo i poddany dyscyplinie umysłowej.

Należałoby, być może, zająć się projektowaniem „muzeów bibliotek”, gdzie moglibyśmy zwiedzać zbiory różnych osób i porównywać je ze sobą. Czy koniecznie osób uczonych? Księgozbiory badaczy różnią się od tych amatorskich. Tkwią między ich stronami kartki z zapisami lektora, na marginesach zaś uwagi, znaki zapytania, komentarze. Czasem mówią one o temperamencie lektora, o nastroju, w jakim czytał. Bywają złośliwe.

W polonistycznym świecie zachowały się w stanie pierwotnym, czyli nierozproszonym, biblioteki Stanisława Pigionia (w Rzeszowie) i Henryka Markiewicza (daleko, w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie). O innych nie wiem, następne czekają zapewne na swoje przeznaczenie.

Oczywiście, tytuły książkowe nie zaginęły. Przeszły jednak do wirtualnego świata i tam możemy je ponownie odnaleźć. Ale ich niegdyś posiadaczy i właścicieli już nie. Kolekcje istnieją, ale ich status się zmienił. Opisywał je niegdyś Krzysztof Pomian, były to kolekcje dawne. Swoistym znakiem przegranej „starych książek” wydają się wzmożone badania archiwów. Pochylamy się nad zapiskami, notatkami, urywkowymi komentarzami, śledzimy papierowe sygnały otaczające książkę, jej autora, jej czytelnika – ale nie jej posiadacza, który niegdyś porządkował swoje nabytki wedle własnego klucza, ustawiał je pieczołowicie na półkach, sięgał po nie w potrzebie, a czasem przechadzał się obok swoich, jakby nie było, partnerów.

Papierowe książki zaczęły więc wypełniać obszary pamięci, może również obszary świadectwa dawnych pokoleń. Czy nie jest to pointa zbyt katastroficzna? W nowoczesnych wnętrzach nie widać miejsc przeznaczonych dla papierowych lokatorów.

Emocje towarzyszące niegdyś nabywaniu książek mało dostępnych zdają się śmieszyć młodszych, którzy nie wiedzą już, co to kolejka po książkę (wyjąwszy Harry’ego Pottera i noblistów). Tych jednak mamy raz na dziesięciolecie.

MARTA WYKA

Uniwersytet Jagielloński

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU



WYDAWNICTWO PAU POLECA - [link](#)

O Znaczeniu Słów

Jakże banalne stały się słowa poety:

„Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość sprawiedliwość”.

Jeśli przywołujemy tę frazę, to z zażenowaniem, czując anachronizm sytuacji, gdy jest pobożnym życzeniem, notorycznie przekraczanym, do czego przywykliśmy.

Każda zmiana ustrojowa, także wtedy, gdy nie jest rewolucją w klasycznym rozumieniu tego słowa, powoduje, bardziej lub mniej trwałe, zmiany w języku, jakim posługujemy się w życiu publicznym, jakiego używają politycy i media. Nie myślę tutaj o sloganach propagandowych, które się szybko zużywają, a ich fałsz łatwo rozpoznajemy, jako że propaganda chętnie operuje epitetami.

Myślę przede wszystkim o pojęciach zawierających oceny zjawisk – istotnych dla dużej części społeczeństwa, które to oceny, w epoce po zmianie ustrojowej, ulegają nierzadko diametralnemu odwróceniu. I nie jest to sytuacja najgroźniejsza z perspektywy społecznego porozumienia, bo jaskrawa, przez co łatwiej rozpoznawalna.

Nie wiem, ilu Polaków uwierzyło partyjnym gazetom minionej epoki, że „AK stała z bronią u nogi”, znając choćby rodzinne relacje z okupacyjnych przeżyć. Sporej liczbie słowo obszarnik skojarzyło się z wyzyskiem ubogich, choć wcześniej było obojętnym ideowo określeniem stanu posiadania.

Ostatnia zmiana rządzących w Polsce, jaka zaszła demokratycznie, w wolnych wyborach, także przynosi modyfikacje językowe. Nie należałoby się temu specjalnie dziwić, ale trzeba, jak myślę, zwracać uwagę, dlatego że zachodzą w warunkach nie zawsze łatwych do zdefiniowania jako odbiegające od uznanych za demokratyczne standardów, co przynosi czasem nieoczekiwane skutki.

Niezależnie od sytuacji politycznej jesteśmy świadkami nieuniknionego „spłaszczenia” języka potocznego, w którym, wskutek koniecznej skrótowności komunikatów elektronicznych (maile, SMS-y), jakie już przeważają nad rozmowami twarzą w twarz. Redukuje się rozpiętość znaczeniowa słów, używamy (instynktownie) tych, które wydają się nie pozostawiać miejsca na różnicowanie intencji, choć niekoniecznie tak jest.

Pozostawiam na boku ocenę tego cywilizacyjnego zjawiska czy raczej zapowiadającego się na długo procesu (badają go gorliwie lingwiści). Myślę teraz o skutkach, jakie w powszechnym myśleniu powoduje pojawianie się w języku pojęć (zazwyczaj pochodzących z mało używanych zasobów leksykalnych) lansowanych przez polityków, przez środowiska opiniotwórcze, w mediach, zwykle natrętnie, dla uzasadnienia aktualnej tezy jako racji obiektywnej.

Od znajomego sędziego dowiedziałam się, że określenie kasta, powszechnie odbierane jak piętnujący epitet, jest w istocie trafnym zbiorowym określeniem środowiska pracowników wymiaru sprawiedliwości, a na pewno jego sędziowskiej części. Kasta to grono ludzi o kwalifikacjach uzyskanych w ustalony prawem sposób, zamknięte przed osobami spoza jej obrębu, które takich kwalifikacji nie posiadają. Zbitka słów „zamknięta kasta”, powtarzana jak oskarżenie w działaniach określanych mianem reformy wymiaru sprawiedliwości, nie wnosi niczego do konstatacji faktu, jedynie wzmacnia negatywną ocenę.

W powszechnym poczuciu sędziów przynależność do kasty, także kasty zamkniętej, takiej oceny nie uzasadnia. Bowiem cechą niezbywalną tego zawodu jest jego dożywotnie trwanie. O sędziach, którzy osiągnęli wiek emerytalny, mówimy, że są odtąd „sędziami w stanie spoczynku”. Nikim innym być nie mogą, wyjąwszy zajęcia akademickie (niemal sędziów ma akademickie tytuły), wykonywane za zgodą odpowiednich instancji wymiaru sprawiedliwości. Mówiąc najprościej: sędzia jest sędzią do końca życia, zatem do końca życia przynależy do swojej zawodowej kasty, z czego wynikają przede wszystkim obowiązki, choć także przywileje. Sędzia nie przestaje być depozytariuszem etosu, w którym naczelną wartością jest niezależność od wszelkich czynników zewnętrznych, poza systemem prawa, a wierność prawu weryfikuje sumienie ukształtowane przez wychowanie, wykształcenie i doświadczenie zawodowe. Konsekwencją tego jest fakt, że sędzia przez całe życie, także wtedy gdy pozostaje w stanie spoczynku, jest autorytetem w zakresie swojej prawniczej specjalności. Jest to rola obowiązkowa, zarazem dożywotni przywilej związany z dożywotnim również statusem.

Utyскиwanie na to, że dostęp do kasty nie jest równie łatwy dla każdego, kto doń aspiruje, że w tym sensie kasta jest zbyt mocno zamknięta, powinno się kierować ku początkom drogi wiodącej do sędziowskich, a także innych w wymiarze sprawiedliwości stanowisk, postrzeganych jako nazbyt trudno dostępne.

Przedmiotem niniejszych uwag nie jest wszakże sytuacja w wymiarze sprawiedliwości ani problemy studiów prawniczych, lecz obserwacje związane z zachodzącymi zmianami znaczenia słów w naszym powszednim języku i niektóre tego skutki.

Jak potrzebne jest baczenie na jednoznaczność używanych pojęć w debacie publicznej, zwłaszcza w sporach dotyczących spraw ważnych dla ogółu społeczeństwa, nie trzeba tłumaczyć. Ciągłe jednak zdarzają się argumenty pozorowane, zaprzeczenia faktom, które nie zaistniały, uprzedzenia wobec wyobrażonych poglądów czy postaw.

Zapowiadane przez ministra edukacji i nauki przeobrażenia programów nauczania w szkołach wszelkiego szczebla każą ze szczególną uwagą odczytywać zawarte w nich hasła, takie jak: patriotyzm, tradycja, tożsamość... i konfrontować z ich powszechnie utrwalonym pojmowaniem. Nie absolutyzuję, oczywiście, ani słownikowej formuły, ani obiegowych nawyków, przypominam, że te drugie bywają przedmiotem manipulacji, a w każdym razie nierzadko są nadużywane dla doradnych celów takiej czy innej polityki. Taki stan rzeczy utrudnia w istotnym stopniu dyskusję o zadaniach, w tym przypadku wychowawczych i pedagogicznych, wytrącając broń oponentom, którym nie godzi się kwestionować postulatów wychowania patriotycznego, zaznajamiania z narodową tradycją itp.

Używanie słów zgodnie z ich, w miarę ściśle pojmowanym, znaczeniem jest potrzebne nie tylko w dyskursie politycznym, czy w sferze spraw dotyczących nas wszystkich. Przy masowym posługiwaniu się krótkimi, skomprimowanymi przekazami nabiera znaczenia decydującego o skuteczności porozumiewania się. Ponadto nie bez znaczenia jest dbałość o bogactwo i różnorodność języka, bo od nich w znacznym stopniu zależy wrażliwość „pozapraktyczna” – na zjawiska kulturowe, na dorobek sztuki.

MAGDALENA BAJER

Starożytne pola w Puszczy i jak je znaleźć

My chcielibyśmy, żeby nasza Puszcza Białowieska była ostatnią w Europie ostoją pierwotnego drzewostanu. Minister Szyszko przekonywał, że jest ona tylko produktem działalności człowieka, co pozwalało mu rżnąć na potęgę. Prawda, jak zazwyczaj, leży pomiędzy tymi skrajnościami. Wiedzą już o tym archeolodzy z UKSW, bo właśnie podsumowują wyniki dużego grantu NCN (2016/20/W/HS3/00593), którego celem było ustalenie zasobów puszczańskiego dziedzictwa kulturowego.

Zwarte obszary leśne stanowiły do niedawna, jeśli nie „białe” to na pewno „szare” plamy na polskiej mapie stanowisk archeologicznych – tzw. Archeologicznym Zdjęciu Polski. Klasyczne metody poszukiwawcze, skupione na oglądzie powierzchni ziemi, nie sprawdzały się bowiem na terenach gęsto zadrzewionych, gdzie widoczne są tylko wyraźne struktury topograficzne – np. kurhany. Lasy nie sprzyjają też szerokopłaszczyznowym badaniom geofizycznym, które pozwoliłyby ujawnić struktury ukryte pod ziemią.

Prawdziwa rewolucja na tym polu nastąpiła kilkanaście lat temu, kiedy archeolodzy zaczęli szerzej wykorzystywać technologię lotniczego skanowania laserowego (ALS). W Polsce ich sytuacja jest wyjątkowo korzystna, gdyż cały kraj jest już „oblatany”, a wyniki tych pomiarów są dostępne w Informatycznym Systemie Osłony Kraju (ISOK), który wdrożono po powodziach z 2010 r. Numeryczne mapy terenu (NMT) – generowane z chmur punktów pomiarowych – są od kilku lat systematycznie sprawdzane przez archeologów, poszukujących niezarejestrowanych dotąd śladów działalności naszych (pra)przodków.

Hojnie sfinansowany przez NCN grant typu „Symfonia” pozwolił nam skupić się na najtrudniejszym obszarze, tj. 600 km² polskiej części Puszczy Białowieskiej, gdzie dotąd zarejestrowano tylko rozmaite kopce – kurhany, mielerze i smolarnie. Już pierwszy ogląd zobrażeń NMT w 2016 r. ujawnił zaskakującą obecność wielu liniowych obiektów, tworzących jakby zgrupowania pól uprawnych. Wyłączenie Puszczy z gospodarki rolnej już w czasach jagiellońskich wskazywało, że muszą to być ślady znacznie starszej agrotechniki.

Weryfikacja terenowa nie wniosła żadnych nowych informacji, bo owe „miedze” zachowały się do wysokości najwyżej kilkunastu centymetrów. Mając szerokość nawet do kilku metrów, są one w terenie leśnym niemal niewidoczne nawet dla oka archeologa, doświadczonego w wychwytywaniu form antropogenicznych. Potwierdzony badaniami geofizycznymi brak śladów jakichś elementów nieziemnych (np. kamieni lub słupów) nie dawał szans na odkrycie szczegółów konstrukcyjnych, które ułatwiłyby interpretację tych struktur. Trzeba więc było odwołać się do klasycznej metody wykopaliskowej.

Pierwsze wyniki były rozczarowujące, bo nawet bardzo dokładna eksploracja archeologiczna wykopów przecinających te „miedze” nie ujawniła informacji wyjaśniających ich naturę ani chronologię. Ziemia tworząca te silnie rozmyte pasy – niewiele wywyższone nad otoczenie, pozornie nie różni się bowiem od pobliskich warstw glebowych. Nie zawierała też zabytków (np. ułamków pradziejowej ceramiki), ani większych węgli drzewnych, które dawałyby szanse ustaleń chronologicznych.

Trzeba więc było poprosić o pomoc specjalistów z dziedzin, które często wspierają archeologów – palinologów, sedymentologów, geomorfologów i paleobotaników. Pobrali oni z odsłoniętych przez archeologów warstw serie próbek, które poddano kompleksowym analizom laboratoryjnym. Dopiero ich wyniki umożliwiły wgląd w historię tych tajemniczych układów starożytnych pól, które są ewenementem archeologicznym nie tylko w Polsce. Ich ślady zachowały się w Puszczy właśnie dlatego, że były ukryte w lesie, do którego przez kilkadziesiąt lat nie wpuszczano rolników.

Wszędzie indziej długotrwała uprawa ziemi zatarła wszelkie pozostałości po pradziejowym rolnictwie. Jedynie pod niektórymi kurhanami odkryto ślady pradawnej orki w postaci brzd pozostawionych przez sochy, radła i prymitywne pługi. Nie można było jednak poddać badaniu całych wiejskich systemów pól uprawnych, bo tylko ich fragmenty przetrwały na niektórych obszarach leśnych. Nigdzie nie zachowały się tak dobrze, jak w gęstwinie Puszczy Białowieskiej.

Interdyscyplinarne badania skoncentrowano w rezerwacie Pistołowo, gdzie pozostałości pól zachowały się nad rzeką Łutownią. Pozwoliły one ustalić historię rolniczego wykorzystania tego obszaru. Pierwszy epizod rozpoczął się już w I wieku n.e., kiedy odlesiony pierwotnie teren wykorzystano do uprawy żyta. Brak śladów intensywnego nawożenia, które mogłoby zapobiec wyłowieniu gleby, może tłumaczyć, dlaczego już w III w. rolnicy porzucili to miejsce. Kolejni pojawili się tam dopiero po sześciuset latach, kiedy puszcza zdołała się już całkowicie zregenerować. Ich wcześnieśredniowieczna prymitywna agrotechnika (prosta uprawa żyta bez nawożenia) sprawiła, że już w X w. zderzyli się ze skutkami erozji coraz bardziej jałowej gleby, czemu próbowano zapobiec, sypiąc owe „miedze”, które zwróciły naszą uwagę. Wkrótce dawne pola znów porosły lasem, w którym na śródleśnych polanach do XII w. sypano kurhany pogrzebowe.

Później w Puszczy, chronionej od XV w. jako królewski obszar łowiecki, dopuszczano tylko produkcję węgla drzewnego, smoły i dziegciu, co na szczęście nie zniszczyło unikatowego w skali europejskiej świadectwa pradziejowego rolnictwa.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
Instytut Archeologii i Etnologii PAN

Nauka – biznes – PZP

Na temat tego, jak sprawić, by wyniki naukowców, w szczególności polskich, można było transferować do biznesu wysypano już tony tonera w drukarkach, odbyto niezliczone konferencje i zorganizowano niejedną wycieczkę do Izraela i Singapuru. Mam poważne wątpliwości, czy tworzenie nowych posad dla urzędników, co *de facto* w wielu punktach proponują w artykule *Transfer wiedzy z nauki do biznesu* (PAUza, 561) panowie profesorowie Rabczenko i Koronacki, może ten proces usprawnić. Nie mam natomiast wątpliwości, od czego należy zacząć, by w ogóle możliwa była konstruktywna rozmowa o tym, jak ma w Polsce wyglądać nauka, która zbliży się do biznesu: musi zostać zasadniczo zmieniona ustawa – Prawo Zamówień Publicznych (PZP).

Każdy, kto zajmował się badaniami w dziedzinach wymagających prac w laboratorium, konstruowania aparatury czy budowania prototypów, wie, jaka jest dynamika takiej działalności. Można wyznaczyć w zarysie cele projektu, jednak znakomita większość rozwiązań powstaje w trakcie pracy – to wtedy pojawiają się nowe pomysły, które często oznaczają, że trzeba porzucić przyjętą na początku drogę i iść w innym kierunku. W typowych projektach badawczych, które prowadziłem, trwających kilka lat, charakterystycznym okresem dla takich zmian jest miesiąc, czasem kwartał. Oznacza to, że z dnia na dzień potrzebne są nowe surowce, nowe urządzenia, już istniejącą aparaturę trzeba szybko zmodyfikować, by służyła do innych celów.

Na badania nie brakuje nam pieniędzy. Jednak ja i moi koledzy czujemy się na co dzień tak, jakbyśmy mieli związane ręce – po środki na naszych uczelnianych kontach nie możemy sięgnąć wtedy, kiedy są nam potrzebne, ale wtedy, kiedy nasze dokumenty przejdą przez urzędowe korowody, zdobędą należytą liczbę pieczętek i podpisów i kiedy rozstrzygną się procedury przetargowe. Nie winię tu uczelnianej administracji – większość osób tam zatrudnionych pomaga nam, jak może. Jednak i oni są uwikłani w gąszcz przepisów, a liczba pracowników potrzebnych, by obsługiwać piętrzące się procedury, stale rośnie.

Nie znam się na stanowieniu prawa, ale zdaje mi się, że istnieje coś takiego, jak intencja ustawodawcy. Przypuszczam, że intencją twórców ustawy o zamówieniach publicznych było to, by jak najlepiej wydawać publiczne

pieniądze. Tymczasem dziś efekt działania owej ustawy jest zgoła odwrotny – zamiast zamówić potrzebny element na stronie internetowej producenta, zapłacić kartą kredytową i po kilku dniach mieć go na biurku (a przy większych zamówieniach negocjować bezpośrednio z producentem ceny i warunki dostaw), trawimy czas na przygotowywaniu absurdalnych dokumentów jak Plan Zamówień, Specyfikacje czy – to ostatnie kuriozum – Identyfikacja Potrzeby. W efekcie kupujemy drożej i wolniej, a publiczne pieniądze na naukę są zwyczajnie marnowane. Sporządzenie Planu Zamówień na dużej uczelni trwało w tym roku do lutego, co znaczy, że przez dwa miesiące prace badawcze były praktycznie sparaliżowane. Czy jakkolwiek firma będzie poważnie traktować takich partnerów?

Po kilkunastu latach pracy naukowej w Polsce nie mam wątpliwości – nie wystarczą dobre chęci i wytężona praca administracji, podnoszenie progów na przetargi (przepisy są tak skonstruowane, że efektywnie nie ma to żadnego wpływu na nasze zakupy) i drobne korekty. Jeśli mamy konkurować – to znaczy często, dosłownie, ścigać się – z najlepszymi grupami badawczymi na świecie w takich dziedzinach, jak optyka, optoelektronika, inżynieria biomedyczna, robotyka czy biologia komórkowa (to dziedziny, które znam z doświadczenia – lista jest z pewnością dużo dłuższa), szefowie grup badawczych muszą móc operować środkami, które zdobyli na badania, całkowicie swobodnie. Absurdem jest przypuszczenie, że z miejsca zatrudnią ciocię, a potem kupią sobie telewizor i wycieczkę na Hawaje – to są ludzie, którym zależy na tym, żeby robić świetną naukę, trzeba tylko stworzyć im do tego warunki. Nawet jeśli w promilu przypadków zdarzą się nadużycia – i tak będzie to efektywnie mniej kosztowne niż obecny system, a wydajność i jakość pracy naukowej wzrosną znakomicie.

Czy rektorzy dziesięciu uczelni, które uzyskały status Uczelni Badawczej w programie IDUB są w stanie stworzyć grupę nacisku, która wpłynie na ustawodawców, by całkowicie uwolnili wydatki na badania prowadzone na uczelniach i w instytutach spod jarzma ustawy? Jestem przekonany, że musi to się odbyć na tym poziomie i jest to w tej chwili najważniejsza zmiana, której potrzebują naukowcy w Polsce. Również po to, by na poważnie myśleć o współpracy z biznesem.

PIOTR WASYLCHYK

Uniwersytet Warszawski



Wydarzenia

- Nowy katalog zbiorów MuFo
- Konkurs Twoje MuFo: szukaj i twórz
- Plamka żółta: Spotkanie z Martą Zgierską

Nie tylko licealiści...

Prof. Andrzej Białas w swoim artykule *Licealiści, głupcze*, opublikowanym niedawno w PAUzie (nr 558), nawiązując do dyskusji o konieczności podniesienia poziomu badań naukowych w Polsce, podkreślił, że podstawowym warunkiem osiągnięcia tego celu jest zwrócenie uwagi na motywowanie młodych zdolnych uczniów ze szkół średnich, aby zechcieli podjąć się pracy badawczej. „Jeżeli nie potrafimy tego dokonać, przegramy już na starcie wysiłki skierowane na ten cel”. Jak słusznie postuluje prof. Białas, w tej akcji potrzebny jest dobry nauczyciel i wyposażenie go w materiały pomocnicze, m.in. w czasopisma popularnonaukowe, takie jak „Wszechświat” wydawany przez Polskie Towarzystwo Przyrodnicze im. Kopernika (PTPK).

Oprócz „Wszechświata”, Towarzystwo wydaje także kwartalnik „Kosmos. Problemy Nauk Biologicznych” (<https://kosmos.ptpk.org>), publikujący naukowe artykuły przeglądowe informujące o światowym stanie wiedzy w różnych dziedzinach szeroko pojętej biologii i jej pogranicza z innymi naukami, opracowane przez specjalistów dla czytelników z wyższym wykształceniem, zainteresowanych problemami biologii. Jest on adresowany do nauczycieli szkół średnich i ich uczniów oraz do pracowników naukowych, zwłaszcza młodych, wkraczających na ścieżkę badacza. Często autorami są także właśnie ci młodzi, przygotowujący rozprawy doktorskie lub habilitacyjne, co z kolei stanowi zachętę dla tych, którzy jeszcze nie są pewni swojej drogi życiowej. Ze względu na ogromne tempo ilościowego przyrostu zasobów informacji naukowej, z artykułów publikowanych w „Kosmosie”, omawiających najbardziej aktualne zagadnienia nauk biologicznych, korzystają także studenci początkowych lat studiów, uzupełniając dzięki temu zawartość polskojęzycznych podręczników, siłą rzeczy zawsze nieco przestarzałych... Oba pisma należą do najstarszych tego rodzaju czasopism przyrodniczych wydawanych w Polsce, „Kosmos” obchodzi w tym roku swoje 145-lecie. Oba cieszą się dużą popularnością zarówno wśród czytelników, jak i autorów, ale od wielu lat borykają się z wielkimi kłopotami finansowymi, wynikającymi z braku wystarczającego wsparcia przez mecenasa państwowego. Początkowo było to finansowanie ze środków publicznych dla czasopism, pokrywające maksymalnie do 50% rocznych kosztów wydawniczych, jednak od 2016 r. praktycznie zaniechano tej formy wsparcia. Potem można było jeszcze ubiegać się o dofinansowanie działań prowadzących do unowocześnienia procesu wydawniczego i przygotowania do wejścia do obiegu internetowego, ale od 2019 r. wsparcie otrzymują tylko czasopisma zakwalifikowane do grupy 500 punktowanych polskich czasopism naukowych o statusie międzynarodowym. „Wszechświat” jako pismo popularnonaukowe nie mógł ubiegać się o wejście na tę listę. „Kosmos”, który w wyniku parametryzacji przeprowadzonej w grudniu 2015 r. z udziałem Komitetów Naukowych PAN, uzyskał aż 12 punktów (na 15

możliwych) na ówczesnej ministerialnej liście czasopism grupy B, nie znalazł się na aktualnej liście czasopism punktowanych. Spowodowało to gwałtowny spadek napływu prac przysyłanych do publikacji, ponieważ przy okresowej ewaluacji instytucji naukowych liczą się tylko czasopisma punktowane. Dlatego w ostatnich latach „Kosmos” publikuje głównie zeszyty monograficzne, powstające na zaproszenie redakcji lub z inicjatywy zainteresowanych zewnętrznych redaktorów naukowych. Ze względu na wolny dostęp do internetowego wydania (od 2002 r.), redakcja „Kosmosu” starała się częściowo pokrywać koszty wydawnicze z dobrowolnych wpłat autorów artykułów. W 2012 r., kiedy MNiSW odmówiło przyznania Towarzystwu umownej subwencji na wydawanie „Kosmosu”, w wyniku porozumienia Towarzystwa z ówczesnym Rektorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (UMK), współwydawcą pisma stało się Uniwersyteckie Wydawnictwo Naukowe, zapewniając jego druk i uczestnicząc w miarę potrzeby w pozostałych kosztach wydawniczych przez kolejnych 8 lat. Szukając oszczędności, redakcja „Kosmosu” w porozumieniu z władzami PTPK i UMK zdecydowały o zaprzestaniu wydawania edycji drukowanej na początku roku 2021. Niestety, nowe władze UMK wycofały swój udział finansowy w wydawaniu pisma, w rezultacie czego również dalsze wydawanie internetowej wersji „Kosmosu” stało pod znakiem zapytania.

W konkluzji jubileuszowego artykułu pt. *140 lat „Kosmosu”* [Kosmos 65 (2016), 151], przedstawiającego historię pisma od czasu jego założenia w 1876 r., Kazimierz L. Wierchowski, wieloletni redaktor naczelny i współautor tego listu, postulował konieczność uznania przez władze państwowe potrzeby zachowania i wspierania polskojęzycznych czasopism upowszechniających wiedzę. „Grupa ta powinna być oceniana przez agendy MNiSW według odrębnych kryteriów, przy założeniu, że polskojęzyczne czasopisma są niezbędne ze względu na potrzebę kultywowania języka polskiego w nauce, jako istotnego składnika kultury. Przy przyjętej obecnie dość powszechnie praktyce w naukach przyrodniczych pisanie prac doktorskich i habilitacyjnych... w języku angielskim, utrzymanie polskojęzycznych czasopism przeglądowych jest niezbędnym warunkiem utrzymania polskiego języka naukowego dla komunikacji między wykładowcami i studentami oraz upowszechnienia wiedzy naukowej w społeczeństwie”.

Przyłączając się do oceny i postulatów prof. Białasa, mamy nadzieję, że przedstawienie przez nas skróto problemów z kontynuacją wydawania „Kosmosu” przez Polskie Towarzystwo Przyrodnicze im. Kopernika przyczyni się do zauważenia przez instytucje sprawujące mecenat państwowy nad nauką konieczności bardziej całościowego i długofalowego działania na rzecz upowszechnienia wiedzy naukowej w społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodzieży, w związku z uznaną potrzebą podnoszenia poziomu badań naukowych w Polsce.

KRYSTYNA SKWARŁO-SOŃTA
redaktor naczelna „Kosmosu”

KAZIMIERZ L. WIERZCHOWSKI
współredaktor

Dyskusja o szkole

Dziś koniec roku szkolnego. Dwa ważne teksty pojawiły się ostatnio w PAUzie: prof. Andrzeja Kastorego (nr 551) o komisji oceniającej jakość podręczników i prof. Andrzeja Białasa (nr 558) *Licealiści, głupcze!* Profesor Białas pisze tak: „Jeżeli nie potrafimy zachęcić do [pracy naukowej] młodych, uzdolnionych uczniów szkół średnich, to walka o poziom nauki w Polsce będzie już na starcie przegrana”. I konkluduje: „podjęcie żmudnej, mało efektywnej pracy od podstaw, przekracza jej [tj. władzy] możliwości”. Dużo łatwiej dyskutować zagadnienia punktowania nauki, niż podjąć „pracę od podstaw” – przedstawiać wykłady po mniejszych i większych szkołach, bliżej i dalej, dla przedszkolaków i licealistów. Dużo więcej otrzymuje się „punktów” za kilka stron o rozpraszaniu elektronów niż za skomplikowane kilkusetstronicowe, interdyscyplinarne rozważania na pograniczu filozofii, kosmologii i antropologii. Ale też jakikolwiek artykuł w „Fizyce w Szkole” ma więcej czytelników niż kolejna tabela przekrojów czynnych.

Problem szkoły to nie tylko popularyzacja (dziś wchodząca do III misji uczelni), czy podręczniki. To cały system edukacji, ustawicznie „miotany falami reform”, poczynając od tzw. reformy Handkego z 1997 roku. Wprowadzała ona gimnazja, według nostalgików „jak to było zaraz po wojnie”, a na wzór gimnazjów włoskich Gentilego (wybitny filozof, minister Mussoliniego). Reforma AD 1997 miała na celu dostosowanie systemu polskiego do wymogów unijnych: demokratyzację struktur szkolnych, zróżnicowanie wymagań i programów, a przede wszystkim zapewnienie pluralizmu organizacyjnego (według danych Eurostatu z 2019 roku – na Malcie, w Estonii, Francji 25% licealistów uczy się w szkołach prywatnych; w Anglii odsetek ten wynosi 80%, w Polsce 14%).

Ale z implementacją poszło początkowo dość kiepsko. Jedna z realizatorek, profesor, napisała po latach: „polecono nam dokonać reformy – nie wiedzieliśmy zbytnio, jak się do tego zabrać”. A ogólnie ktoś powiedział, że każdy z ekspertów gdzieś za granicą był i proponował rozwiązanie z tamtego kraju. I tak powstał system eklektyczny – późny wiek skolaryzacji (7 lat, jak w Szwecji; w Anglii jest to 5 lat), ale przy niskich nakładach (do dziś w cenach porównywalnych – połowa tego, co w Austrii, Szwecji czy Finlandii). Prywatne wydawnictwa zaczęły rejestrować własne programy, jakby prawa Newtona do kogoś przynależały. Notabene w Belgii jeden główny podręcznik do fizyki ma 12 autorów: 6 profesorów uniwersyteckich, 6 – licealnych. Zresztą podręcznik wydano w Nancy; w części flamandzkiej korzysta się z podręczników niderlandzkich. Aby uporządkować wymagania,

MEN wprowadziło podstawę programową, ale ta z kolei zamieniła się w rodzaj „shopping list”: tylko tom V, nauk przyrodniczych liczył 220 stron.

Jednakże, zgodnie z zasadami homeostazy, system po latach zaczynał funkcjonować: poprawiła się jakość podręczników (duża w tym zasługa różnego rodzaju komisji, od Polskiego Towarzystwa Fizycznego do PAU). Ale przede wszystkim dzięki funduszom strukturalnym okrzepły instytucje szkolne, zwłaszcza w małych miasteczkach i wioskach. Polska została usiana pięknymi budynkami gimnazjów – w Choceniu, Brusach, Dąbrowie Biskupiej i tysiącach innych miejscowości. Stały się one ośrodkami agregacji kulturowej. Niestety, kolejna fala rozproszyła uczniów po drobnych szkołach podstawowych. A przede wszystkim – zabrakło godzin do pensum dla nauczycieli fizyki, chemii, prac technicznych itd. Rekorды to ułamki etatów w pięciu szkołach. Jakby się tego nie udało przewidzieć przed „reformą”...

Kiedy w 2003 roku rozmawiałem o polskich reformach z wybitnym fizykiem teoretykiem, Lwem Pita-jewskim, powiedział lakonicznie: „Nic nie jest bardziej nieudane niż reformowanie nieudanych reform”. Daleki jestem więc od zgłaszania jakichkolwiek pomysłów. Jedyna operacja to $8=5+3$, ale nieformalnie, programowo, bez ponownego wywracania struktur. Zbyt późny jest wiek rozpoczęcia nauki w szkolnej ławce: nie musi to być 5 lat, jak w Anglii, ale choćby 6 lat. Powszechnie muszą być przedszkola (na tym polegała reforma Montessori) – we Francji i Anglii nauczaniem przedszkolnym jest objęte 100% dzieci, w Belgii 98%.

A szkoły wyższe, szczególnie te duże i państwowe, winny podjąć obowiązek publiczny kształcenia nauczycieli. Tak w tej kwestii pisał w 1998 roku Zbigniew Kwieciński, wybitny pedagog: „Programy edukacyjne dla nauczycieli szkół publicznych powinny być postrzegane przez instytucje, które je proponują, jako poważna odpowiedzialność wobec społeczeństwa i być stosownie do tego wspierane i promowane oraz energicznie rozwijane przez najwyższe władze tych instytucji”. I dalej Z. Kwieciński konstatuje: „W polskich uczelniach państwowych istnieje ugruntowana tradycja traktowania nurtu studiów dla przyszłych nauczycieli – w obrębie danej dyscypliny naukowej – jako jakościowo gorszych niż studia ‘prawdziwe’ akademickie”.

MEN we współpracy z MNiSW od kilku lat reformuje kształcenie nauczycieli, ale łatwiej o zmiany programowe niż o zmianę mentalności, szczególnie uniwersyteckiej kadry. Tym bardziej teksty o szkole są, nie tylko w PAUzie, potrzebne.

Miłych, refleksyjnych wakacji!

GRZEGORZ KARWASZ

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Kręte drogi uczonych

Człowiek, którego widzimy na zdjęciu, nazywał się Louis-Lucien Bonaparte. Był bratankiem cesarza Napoleona – synem jego zbuntowanego brata republikanina, Lucjana, który nie dał się wciągnąć w dynastyczne plany, ożenił się z kobietą, którą kochał, i jakkolwiek odegrał kluczową rolę w dojściu Napoleona do władzy w roku 1799, od 1803 żył na uboczu, poza Francją, aż do Stu Dni, kiedy mimo wcześniejszych niesnasek wsparł cesarskiego brata. Zawsze zainteresowany nauką, a po roku 1815 podejrzany politycznie i inwigilowany przez papieską policję, zajął się archeologią – zapoczątkował badania nad etruskimi starożytnościami, znajdującymi się w obrębie jego majątku. Z kilkanaścioro dzieci Lucjana troje odziedziczyło pasję naukową: najstarszy syn został ważnym ornitologiem, jedna z córek współpracowała przy ojcowskich wykopaliskach. Syn ze zdjęcia miał skomplikowaną karierę naukową, ale to jego dokonania do dziś mają znaczenie.

Louis-Lucien Bonaparte (1813–1891) zasłużył się mianowicie w drugiej połowie XIX w. na polu językoznawstwa: jego prace, zwłaszcza o dialektach baskijskich i językach celtyckich, posiadają niezmiennie wartość, choćby dokumentacyjną: w przypadku baskijskim bowiem za pomocą metody naukowej poprawnej dla czasów przed możliwością rejestracji dźwięku zapisują ówczesny stan i mapę tych dialektów.

W XIX w. człowiek utalentowany, zwłaszcza za-
możny, mógł sobie pozwolić na bycie naukowcem niezależnym, publikującym w recenzowanych czasopismach z wolnej stopy. Gdyby jednak Louis-Lucien postanowił starać się o grant na swoje badania językoznawcze w Polsce XXI w., mógłby mieć spory problem z uzyskaniem finansowania, ponieważ groziłoby mu zostanie uznany za niepoważnego. Louis-Lucien, czy też Luis-Luziano, jak nazywali go Baskowie, studiował bowiem w młodości chemię i biologię, ba, z tych dziedzin publikował znaczące w swoim czasie prace naukowe (np. o walerianinie cynkowym, chininie czy chemicznych właściwościach jadu żmii). Kwestiami językowymi zainteresował się ewidentnie dość wcześnie, bo już w 1839 roku opublikował pracę stanowiącą propozycję systemu terminologii chemicznej, która w klarowny, jednoznaczny sposób wskazywałaby na skład chemiczny związków – czyli rozwinął to, co wcześniej sugerowali Lavoisier i Berzelius, a co ostatecznie przyjęło się dla całej chemii pod koniec XIX w. W 1848 roku, kiedy II Republika pozwoliła członkom dawnej rodziny cesarskiej oficjalnie mieszkać i działać we Francji, Louis-Lucien otrzymał Legię Honorową za dokonania na polu nauk przyrodniczych.

Niewiele wcześniej, choć jeszcze we Florencji, gdzie nasz bohater mieszkał od studiów do późnych lat



Fot. z archiwum autorki

czterdziestych, przypadkiem wpadł w jego ręce wczesny i bardzo nienaukowy słownik języka baskijskiego. To zdecydowało o reszcie życia Louisa-Luciena – z chemika i mineraloga stał się w wieku plus minusz czterdziestu pięciu lat uznanym lingwistą. Na dodatek specjalizującym się w zagadnieniach trudnych, które od człowieka mogącego już w zasadzie odcinać kupony od dotychczasowych osiągnięć wymagały ogromnego nakładu pracy, od nauki tych języków poczynając. Co zabawne, jego nietypowa w drugiej połowie XIX wieku obsesja, żeby zachowane w izolowanych wioskach archaiczne formy dialektów baskijskich chronić przed wpływami z zewnątrz i zapisywać w tej istniejącej jeszcze formie, spodobałaby się zapewne współczesnym etnologom. Niestety, dorobek z zakresu niewłaściwej dyscypliny naukowej mógłby okazać się kluczowy dla decyzji o (nie)przyznaniu grantu.

Nie będę ukrywać: ten felieton powstał w bezpośrednim kontekście tego, co się obecnie dzieje w Polsce z nauką. Coraz bardziej korporacyjnego modelu, zarządzania interdyscyplinarności, nieufności wobec osób, które nie idą prosto wyznaczoną przez pierwszy dyplom akademicką ścieżką, nieinwestowania w naukowców niespełniających kryteriów liczzonej metrykalnie lub od (pierwszego) dyplomu „młodości”.

AGNIESZKA FULIŃSKA

Uniwersytet Jagielloński

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.